

Okupacja niemiecka

Hanna i Zofia zjechały z dziećmi do rodzinnego domu na wakacje 1939 roku. Przewidywano, że gdyby wybuchła wojna, na którą coraz wyraźniej się zanosilo, dłuższy czas spędzą na wsi, w powszechnym mniemaniu zapewniającej większe bezpieczeństwo niż duże miasta, Lublin czy Gdynia, gdzie mieszkały.

Moje dziecięce wspomnienia z Moniak zaczynam właśnie od września 1939, gdyż wcześniejsze, przedwojenne, są bardzo fragmentaryczne i mgliste. Doskonale pamiętam tylko różne szczegóły, np., że jako dziewczynkę krnąbrną i samowolną, często rykiem reagującą na polecenia dorosłych, sadzano mnie na nocniku i pozostawiano w pokoju przed otwartymi drzwiczkami pieca, dopóki nie ucichłam. Z czeluści paleniska miała przyjść po mnie jakaś złowroga istota, tego się jednak nie doczekałam, więc też nie wyrosłam na dziecko zastraszone. Zwana Zosią-Samosią, bo wszystko lubiałam robić sama, raz jednak dostałam hysterii, kiedy opiekunka wciągała leniwemu Krzyškowi ohydne prążkowane pończochy, mnie zaś kazała zrobić to samej, co uznałam za straszną niesprawiedliwość. Głośnym płaczem do tego stopnia zirykowałam mego nadzwyczaj łagodnego ojca, że wyszedł z sypialnego pokoju i uspokoił mnie klapsem. Tę wyjątkową karę dobrze zapamiętałam.

Mam też przed oczami niewyraźny obrazek dziadka Ludwika Zembrzuskiego w gabinecie, kołyszącego w wózku malutkiego Stefanka Olszowskiego. Musiały to być wakacje 1936 roku.

No, i chyba pamiętam, choć może tylko z opowieści rodzinnych, jak nad gazonem wyczyniał lotnicze sztuczki kuzyn matki, Wojciech Kołaczkowski, który przylatywał popisywać się przed wiejską publicznością ze Szkoły Orłąt w Dęblinie, w czasie wojny zaś, jako as Dywizjonu 303, walczył w Bitwie o Anglię.

Naturalnie moje wspomnienia z pierwszych lat okupacji są już znacznie liczniejsze i żywsze, opisując ówczesne Moniaki, czerpię dodatkowo z wielu zachowanych źródeł, takich jak relacje czy listy osób dorosłych. Chociaż obficie cytuję bądź streszczam te materiały, odmalowany przeze mnie obraz z natury rzeczy musi być jednostronny, nie ma go jednak kto uzupełnić czy wzbogacić, bo dziś z mieszkańców dworu pozostałam na świecie tylko ja i mój zamieszkały w Kanadzie młodszy brat Tadeusz, zwany Mopsem, on zaś wyjechał z Moniak w wieku lat niespełna pięciu.

W momencie wybuchu wojny oprócz Hanny Dąbrowskiej z trójką dzieci i Zofii Olszowskiej z dwoma synkami we dworze mieszkały babcie: Zosia i Marylka Zembrzuskie, prowadząca dom p. Stefania Plucińska oraz rządca, pan Edward Tomaszewski, wreszcie opiekunki dzieci, kucharka i pokojówki.

Przypuszczam, że jeszcze w sierpniu, w przewidywaniu działań wojennych, kobiety, ze mną włącznie, zaczęły pod okiem babć skubać szarpie na wypadek, gdyby trzeba było opatrywać rannych. Jako dziecko nie umiałam sobie czegoś podobnego wyobrazić.

Z dnia 1 września nie zapamiętałam nic, natomiast bardzo wyraźnie dźwięczą mi w uszach wciąż powtarzane przez starszych przestrogi, żeby niczego z ziemi nie podnosić, bo Niemcy z samolotów zrzucają polskim dzieciom zatrute cukierki. Znacznie bardziej realną groźbę stanowiły bomby lotnicze i ostrzał z broni pokładowej, toteż od rana do zmroku trzymano nas w ogrodzie, na wprost oranżerii, pod siedmioma drzewkami cierniowymi, czyli igliczniami, i dla zabicia czasu kazano nam bez końca przebierać fasolę.

W domu radio ustawicznie nadawało niezrozumiałe dla dzieciarni komunikaty: „Nadchodzi, nadchodzi... przeszedł” oraz „Westerplatte broni się jeszcze”.

Raptem przewaliła się przez Moniaki fala uciekinierów z zachodniej Polski, na ogół jadących samochodami. Byli to elegancko ubrani panowie, panie w kapeluszach, z dziećmi, pieskami i kuframi. Oddano im do użytku cały dom, my zaś przenieśliśmy się do oficyny. Po ich wyjeździe najsilniejsze wrażenie wywarł na mnie nieopisany bałagan, jakiego narobili, słoma rozrzucona na zawsze czystej, wywoskowanej podłodze i walające się wszędzie psie kupki. Pierwszy raz w życiu doznałam bardzo bolesnego, choć na pewno nieświadomionego uczucia, że obcy ludzie zbeczcili mój dom.

Później, niewątpliwie po 17 września, fala uciekinierów ruszyła w odwrotnym kierunku, ze wschodu na zachód, ale to nie wydawało się już takie straszne jak za pierwszym razem.

Bardzo wyraźnie stoi mi przed oczami kolejny obrazek: młodziutcy żołnierze na furce, śpieszący na odsiecz Warszawie, kryją się w dzień przed Luftwaffe pod krzakami za bramą wjazdową od strony czworaków.

Mniej więcej w tym czasie dorośli, zelektryzowani jakąś wiadomością, dziś wiem, że o wkroczeniu bolszewików do Polski, postanowili wyjechać do Lublina, gdzie właściciele majątku jakoś mogliby się ukryć, zniknąć w tłumie, co na wsi nie wchodziło w rachubę. Błyskawicznie została zorganizowana wyprawa furmankami, zaopatrzonymi w pałaki, na których w razie deszczu dałoby się rozpiąć plandeki. Takim taborem cygańskim, powiększonym o wozy przybyłych z Mazanowa Świerczewskich, wyruszyliśmy do oddalonego o 50 kilometrów Lublina. Podróż końmi musiała trwać co najmniej pięć godzin, toteż mojego rocznego braciszka Mopsa i niewiele starszego Andrzejka Olszowskiego na wszelki wypadek posadzono na nocnikach, ku nieopisanej uciechu starszych dzieci.

Na straży domu zostali tylko pani Plucińska z panem Tomaszewskim i to oni są bohaterami historii, którą w latach osiemdziesiątych opowiedział w Anglii na łamach jakiegoś emigracyjnego pisemka podpułkownik Leon Fudakowski:

„Niewiarygodne a prawdziwe
(Kawaleryjska zabawa 27 września 1939 r.)

A wszystkiemu winna panna Plucińska. Tak, panna Plucińska, ze znanej w Wielkopolsce i szanowanej rodziny. Znałem ją, a właściwie ona mnie, od dziecka, jeszcze przed I. Wojną Światową, gdy była ochmistrzynią u Rostworowskich z Kębłą.

Już wtedy nie należała do podlotków, ale jej cnoty i gorące serce polskie umiały docenić nawet dzieci.

Po I. Wojnie Światowej i po śmierci swojej protektorki, Marii z Brezów Rostworowskiej, zmieniła posadę i przeniosła się do Moniak pp. Zembrzuskich pod Urzędowem lubelskim. Zaczny ten dom był zawsze pełen młodzieży w koperczakach do czterech dorastających dorodnych cór. I ja do nich należałem, a ostatni raz przed 1939 rokiem byłem tam na hucznym weselu najstarszej z pańien Zembrzuskich - Marysi...

Ten wstęp wydaje mi się koniecznym przed opisaniem rozczulającego, ale jak mi się wydaje, również i komicznego wydarzenia z wieczoru spędzonego w Moniakach 27 września 1939 roku [...]"

Dalej autor pisze, jak idąc w kierunku broniącej się jeszcze Warszawy, dotarł z resztkami szwadronu do Moniak. Na ganku stał rządca, pan Tomaszewski, i dwóch Ukraińców - petlurowców w polskich oficerskich mundurach. Ukraińcy wzbudziły tak duże podejrzenia nowo przybyłych, że żołnierzom wydano rozkaz odprowadzenia ich na podwórze i zamknięcia w spichrzu. Tymczasem na ganek wyszła p. Plucińska, poznała Leona Fudakowskiego, a dowiedziawszy się, że oddział zakwateruje na noc w Moniakach, zaczęła się martwić, czym nakarmi około 30 oficerów i podchorążych i około 40 szeregowych.

Zaraz jednak we dworze zapanował „...ruch niesamowity. Tu dwie dziewczyny ciągną świeżo wypchane sienniki; tam rozstawiają stoły, tu ktoś dźwiga dwie olbrzymie baranice; tam pobrzękuje naczynie stołowe.

A panna Plucińska, spokojna i opanowana, siedzi na fotelu w przedpokoju i tylko głosem nie uznającym sprzeciwu wydaje przemyślane w szczegółach zarządzenia [...]"

Tymczasem Fudakowski poszedł z majorem Włodarkiewiczem na podwórze, rozplanować zakwaterowanie. Później, jak relacjonuje:

„Wróciliśmy do dworu. Po wejściu do jadalnego pokoju oko nam zbieleło. Ogromny stół, pokryty śnieżnym obrusem, ugiął się od jedzenia i picia. Czego tam nie było? Kiełbasy, szynki wędzone, jedna dziczka, ze dwadzieścia kurczaków pieczonych, sosy, śledzie marynowane i w śmietanie, kwaszona kapusta, ogórki, pikle, kompoty z weka, sery itp., a nade wszystko gęsta tyraliera butelek węgryzna, burgunda i miodu - zamiast kwiatów. Słowem - Wielkanoc na stole.

W przedpokoju równie duży stół dla podoficerów; równie suto zastawiony.

Przed zajęciem miejsc wjechały na stół cztery dymiące wazy kartoflanki.

Panna Plucińska cała w pąsach zajęła na prośbę Włodarkiewicza pierwsze miejsce przy krótkiej ścianie stołu, a pan Tomaszewski na drugim końcu czynił honory domu.

I zaczęła się ta wisielcza uczta w gwarze i pozornej lub maskowanej beztroscie. Gęsto dolewane kielichy pustoszały i znów były napełnione. Jakie tam były toasty! Jak tam panna Plucińska fruwała, delikatnie noszona na rękach młodzieży! Jakie tam odchodziły żórawiejki!

Stado dziewczyn uwijało się szybko przy zmianie talerzy, nie jestem pewny, czy całkowicie bezkarnie.

Panna Plucińska śpiewała z nami. Choć najwyraźniej miała w czubie (pewno pierwszy raz w życiu), bacznie pilnowała porządku i parę razy wstawała od stołu, sztywno znikając w kredensie [...]"

W pewnej chwili zwróciła się do oficerów z gorącą prośbą, aby zabrali ze sobą resztę piwnicy moniackiej: „Na miłość Boską, jutro tu przyjdą bolszewicy. Piwnica jeszcze pełna. Popiją się. A ja mam tyle dziewcząt pod opieką. Zgódźcie się!

Major po słabym certowaniu 'zgodził się' na oddanie tej 'usługi'.

Piwnica moniacka została dokładnie opróżniona. Nie było ułana, podoficera, podchorążego czy oficera, który by nie odjeżdżał z Moniak bez co najmniej dwóch butli burgunda, węgryzna czy miodu. Przyznam się, że sam wziąłem dwie węgryzna i jedną miodu.

Biesiada zakończyła się późno w nocy na nutę rzewną i patriotyczną, bo ktoś zaintonował *Rotę*, która nas otrzeźwiła i którą odśpiewaliśmy stojąc.

Nie spaliśmy długo, gdyż dobrze przed świtem major zarządził alarm. Dźwięki tej sygnałówki jeszcze teraz słyszę, bo choć nie pozostałem w Kraju, jak większość współbiesiadników, była to dla mnie ostatnia kawaleryjska 'zabawa' w Polsce.

Sądzę, iż podobnej zabawy i uczty niewielu przeżyło kawalerzystów i artylerzystów konnych we wrześniu 1939 roku.

Poświęcam pamięci Panny Plucińskiej i zacnego domu pp. Zembruskich z Moniak”.

Po przyjeździe do Lublina stłoczyliśmy się razem z Olszowskimi i Świerczewskimi w naszym ośmiopokojowym mieszkaniu przy ul. Ogrodowej 8. Pobyt tam trwał na tyle długo, że czworo starszych dzieci zdążyło pójść do szkoły. Skończył się na początku grudnia, kiedy to dorośli znów uznali, że bezpieczniej będzie przetrwać wojnę na wsi. Może zresztą powodem wyjazdu całej naszej gromady było włączenie Ogrodowej do dzielnicy niemieckiej i wyrzucenie nas z mieszkania.

Wróciliśmy więc do Moniak, też furami, i tak rozpoczął się nasz niespełna trzyletni, a zarazem ostatni tam pobyt, z dzisiejszej perspektywy tak krótki, a dla dziecka tak długi i ważny. Wtedy to dokładnie poznałam świat, a właściwie małą jego część, ograniczoną do domu, ogrodu, podwórza wraz z otaczającymi je polami, łąkami, jarami i pobliskim lasem, wchłonełam go wszystkimi zmysłami, zapamiętałam na zawsze, a teraz spróbuję opisać.